

Remigiusz Okraska: Pandemia – powrót do normalności?

„Normalne czasy” stanowią raczej historyczny ewenement niż regułę. Rosnący dobrobyt, konsumpcja, wygoda, swobodny wybór wielu produktów, usług, aktywności i stylów życia mają swoje koszty ekologiczne i społeczne, spychane poza zasięg wzroku, na peryferie świata, na społeczne i regionalne marginesy – pisze Remigiusz Okraska w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Corona-krisis”.

Przez dwa, trzy tygodnie wzmożonego ruchu publicystycznego powiedziano o skutkach pandemii już wiele. W tym sporo rzeczy nieoczywistych w ogóle lub w nieoczywistych miejscach. Można powiedzieć, że mieliśmy do czynienia z kilkoma mini-trzęsieniami ziemi w debacie publicznej i w stanie świadomości społecznej.

Jedną z najważniejszych zmian tego rodzaju wydaje się inne od dotychczasowego postrzeganie i ocena części zawodów i branż. Okazało się, że w czasach poważnych zagrożeń to profesje często lekceważone czy mizernie opłacane są kluczowe dla przeciwdziałania zagrożeniom czy utrzymania jako takiej kondycji zbiorowości. Z kolei inne, zwykle znacznie lepiej gratyfikowane, stają się zbędne lub drugoplanowe. Na placu dosłownego boju o ludzkie zdrowie i życie zostają pielęgniarki, salowe i ratownicy medyczni. Na pierwszej linii frontu ryzyka zdrowotnego i zarazem niezbędności społecznej walczą kasjerki dyskontów, kurierzy, dostawcy lekarstw do aptek itp. To wszystko są

zawody – o czym nigdy dość przypominania publiczności klasośredniej i/lub inteligenckiej – oparte na ciężkiej, wyczerpującej, co najmniej czterdziestogodzinnej, a zwykle dłuższej w wymiarze tygodniowym, nierzadko dwuzmianowej pracy, wycenianej przez polski rzekomy „rynek pracownika” na miesięczne stawki 1500-2500 zł netto. Często w dodatku w oparciu o stosunek pracy określony umowami śmieciowymi, z wszystkimi tego skutkami: częścią pensji uzależnioną od prowizji, brakiem płatnych urlopów, niższymi składkami emerytalnymi, brakiem płatnych zwolnień chorobowych, znikomą ochroną przed utratą pracy z dnia na dzień, bez prawa do otrzymania zasiłku dla bezrobotnych w momencie utraty zatrudnienia itp. A komu i do czego są dzisiaj niezbędni makler, coach, sprzedawca luksusowych samochodów, deweloper apartamentów, gwiazda futbolu? Czyli ludzie opłacani w „normalnych czasach” znacznie lepiej niż ci, którzy dzisiaj ryzykownie i mozolnie splatają potargane sieci społeczeństwa. Albo przynajmniej ludzie cieszący się większym prestiżem, gdyż uznawani za adeptów profesji nowoczesnych i „rozwojowych”, jak w przypadku całej rzeszy „biurokracji kapitalistycznej”, sportretowanej przed siedmioma laty w głośnym tekście Davida Graebera o fenomenie bullshit job.

Bez wsparcia ludzi takich jak Ty, nie mógłbyś czytać tego artykułu.

Prosimy, kliknij tutaj i przekaz darowiznę w dowolnej wysokości.

Oczywiście wielu zapowiada szybki powrót „normalnych czasów”, a wraz z nimi łatwo będzie zapomnieć o dzisiejszym heroizmie tysięcy zwykłych ludzi. Słowa uznania, klaskanie z balkonów, wysyłanie pizzy do szpitali – może przeminąć z tygodnia na tydzień, nie zostawiając śladu w postaci nie tylko większego niż dotychczasowy szacunku wobec takich profesji, ale przede wszystkim ich znacznie lepszego

gratyfikowania. Oklaski i hasztagi nie kosztują wiele, natomiast większe nakłady na publiczną służbę zdrowia, szczególnie na pensje najgorzej opłacanych profesji – owszem. A kasjerki czy kurierzy nie mogą liczyć nawet na większy szacunek. „Niech zmienią pracę, jeśli im się nie podoba” – ta mantra powróci zapewne szybciej niż myślimy. Pielęgniarki już tego posłuchały w ostatnich dekadach: wyjechały do innych krajów, przekwalifikowały się lub zrezygnowały z tego zawodu już na etapie młodzieńczego planowania przyszłości. Stąd ich duży deficyt, a to dopiero początek, ponieważ w zawodzie jest wysoka średnia wieku i nie ma zastępowalności pokoleniowej, bowiem kogo skusi ciężka, niewdzięczna praca za 2200 netto? To wszystko w społeczeństwie szybko się starzejącym, zatem bardziej niż dawniej obciążającym sektor opieki zdrowotnej. Nawet w „normalnych czasach” czekają nas zatem już wkrótce spore problemy, skoro położna, salowa czy pielęgniarka mogą tylko pomarzyć o zarobkach i pozycji społecznej account managera.

Oklaski i hasztagi nie kosztują wiele, natomiast większe nakłady na publiczną służbę zdrowia, szczególnie na pensje najgorzej opłacanych profesji – owszem

A co jeśli „normalne czasy” nie wrócą? Wiele wskazuje, że czekają nas nie lepsze, lecz gorsze czasy. Że kryzys taki czy inny stanie się normą. Jest to świat spekulacyjnych

baniek na skalę globalną. Świat nadciągającej katastrofy klimatycznej i związanych z nią kryzysów, czy to uchodźczego (na „globalnym Południu” wkrótce po prostu przestanie dać się przeżyć i właśnie to wprawia w ruch miliony ludzi, nie wezwanie kalifa czy imama do „islamizowania” Północy), czy rolniczego i żywnościowego (susze

ograniczające podaż, za to windujące ceny żywności). Świat wyczerpywania się wielu surowców naturalnych i zapaści środowiska, a zarazem rosnących problemów ekologicznych – stert śmieci, smogu itp. Świat rozrastających się i coraz mniej komfortowych aglomeracji i zarazem wymierania i zapaści prowincji. To nie są scenariusze katastroficzne, lecz prognozy naukowców, niemożliwe do zanegowania przez rzekomo niepokorne, a de facto durne spiskowe teorie mętnych internetowych guru.

Odpowiedź spod znaku „normalnych czasów” mówi, że przecież „rynek tak wycenił” czyjaś pracę, iż pielęgniarka, a co dopiero kurier czy kasjerka nie mogą nawet marzyć o zarobkach osób wykonujących zawody w zasadzie zbędne społecznie, a przynajmniej niekonieczne w godzinie próby. A jak rynek wycenia pracę rolnika, który zamiast obsiewania 100 hektarów kukurydzą uprawianą na potrzeby produkcji syropu glukozowo-fruktozowego chciałby mieć kilka hektarów różnorodnych upraw, zapewniających wyżywienie jego rodzinie i lokalnym konsumentom? Wyceni go na brak rentowności. Dlatego takich rolników ubywa, bo przecież hodowcy 10 świń trudno konkurować z inwestorem zagranicznym stawiającym chlewnie na 10 tysięcy tuczników. Trudno z kosztami życia w kraju bogatszej części globu konkurować z ceną ziemniaków przywiezionych z Maroka, tym bardziej w świecie, w którym duża część handlu detalicznego opanowana jest przez dyskonty i markety zaopatrujące się u jednej czy trzech gigantycznych firm agrobiznesowych, nie u lokalnych rolników. A co będzie, gdy taka czy inna powszechna sytuacja (nie)wyjątkowa sprawi, że inwestor zagraniczny nie zainwestuje, a TIR nie dowiezie ziemniaków z Maroka? Account managerowie przekwalifikują się na drobnych rolników?

„Normalne czasy” stanowią raczej historyczny ewenement niż regułę. Rosnący dobrobyt, konsumpcja, wygoda, swobodny wybór wielu produktów, usług, aktywności i stylów życia mają swoje koszty ekologiczne i społeczne, spychane poza zasięg wzroku, na peryferie świata, na społeczne i regionalne marginesy. Nie da się ich zagadać, zanegować, rozpuścić w spiskowych opowieściach – kolejny rok suszy rolniczej nie pozwoli na wyższe plony czy mniejsze koszty produkcji tylko dlatego, że ktoś opublikuje setne teksty Warzechy czy Ziemkiewicza o tym, że „głobcio” to wymysł „eko-terrorystów”. Telefony i telewizory zmieniane co dwa lata, a samochody co lat niewiele więcej – to wszystko nie znika bez śladu. Ekosystem ma fizyczne granice pojemności i wzrostu, to jest ABC wiedzy biologicznej. Również społeczności ludzkie, choć bardziej plastyczne, nie są z plasteliny, którą można dowolnie ugniatać. Konserwatywna prawica, szczególnie jej część doświadczona ukąszeniem friedmanowsko-korwinowskim, specjalizuje się w lamentach na temat „upadku wartości”, ale nie chce widzieć, że za falę rozwodów, samotności, bezdzietności, rozmaitych patologii i problemów społecznych odpowiada nie wymaginowana lewacka inżynieria społeczna, lecz realia hiperkapitalizmu. Tego samego, który wymusza mobilność przestrzenną i „wykorzenienie”, coraz dłuższą harówkę i „elastyczność” zawodową kosztem życia rodzinnego, serwuje wszechobecną tandetną rozrywkę i konsumpcję sprzeczną z „tradycyjnymi wartościami” itp.

Rynek nie wycenia bowiem niczego sensownie sam z siebie poza porządkiem kulturowym, społecznym, instytucjonalnym. To ideologiczny konstrukt epoki neoliberalnej/neokonserwatywnej, nic więcej. Nie wycenia sensownie pracy pielęgniarek, choć są o wiele bardziej potrzebne społeczeństwu niż sprzedawca „usług finansowych” – potrzebne społeczeństwu rozumianemu jako wspólnota ludzka w

*Za falę rozwodów, samotności,
bezdziębności, rozmaitych
patologii i problemów
społecznych odpowiada nie
wymagowana lewacka
inżynieria społeczna, lecz
realia hiperkapitalizmu*

dobrej kondycji, nie
zaledwie jako
zbiorowość
zapatrzona
wyłącznie we
wskaźnik PKB. Nie
wycenia sensownie
pracy rolnika w
perspektywie
dłuższej niż
sezonowa obniżka
cen w dyskoncie

dopóki po całym świecie pędzą swobodnie TIRy wożące ziemniaki z Maroka. Nie wycenia rzetelnie nawet całościowego rozwoju gospodarczego, skoro po stronie plusów jest rosnąca konsumpcja, ale w tabeli z minusami nie wspomina się o wyczerpywaniu surowców, rozrastaniu śmietnisk, zamianie parków w gęsto zabudowane osiedla deweloperskie itd.

Jest ponurym paradoksem, że prawica ukąszona przez Friedmana i Korwina uchodzi za arcykonserwatywną, lecz po pierwsze płynie całkowicie z prądem ducha dziejów turbokapitalizmu i hiperkonsumpcji, po drugie natomiast nie zna lub porzuca najbardziej dalekowzroczne tradycje własnego obozu, takie, które w obliczu spodziewanego permanentnego kryzysu byłyby o wiele bardziej przydatne niż gawędy o podaży i popycie oraz rynkowej wycenie jako ostatecznej instancji czegokolwiek. Jak prawica w swym obecnie głównym, neokonserwatywnym wydaniu porzuciła intuicje ekologiczne, w których ta strona sceny politycznej o dekady wyprzedzała „lewactwo”, tak podobnie dzieje się z tymi wizjami

dobrego społeczeństwa, ładu publicznego, stabilnych wspólnot, które wobec kryzysu byłyby o wiele bardziej odpowiednie niż dzisiejsze horyzonty wolnorynkowców.

Mówiąc w dużym uproszczeniu, nurtowi „korwinowskiemu” należałoby przeciwstawić nurt „chestertonowski”. Gilbert Keith Chesterton cieszy się w Polsce pewną popularnością jako katolicki myśliciel religijno-cywilizacyjny. Znacznie gorzej jest z popularnością jego wizji gospodarczych, zwanych dystrybucjonizmem. Jeśli nawet, to prawica kładzie nacisk na chestertonowską apoteozę drobnej własności prywatnej, przeciwstawianej kolektywizmowi. Znacznie mniej uwagi poświęca krytyce, jaką ten myśliciel i jego współpracownicy kierowali pod adresem koncentracji własności i gigantomanii gospodarczej wskutek procesów rynkowych, które Chesterton portretował podobnie jak Marks: rekiny zjadają płotki. Jeszcze mniej znana i doceniana jest całościowa wizja społeczeństwa sformułowana w kręgach dystrybucjonistów. Docenienie lokalnych wspólnot, „zakorzenienia” w nich zamiast „mobilności” i „kariery”, szacunek dla pracy nie tylko dającej indywidualne czy rodzinne utrzymanie, lecz także pożytek społeczny, dobrostan społeczności przedkładany ponad rynkowy sukces jednostki czy firmy – to wszystko można wyczytać u Chestertona.

Nic dziwnego, że jedna z najgłośniejszych w drugiej połowie XX wieku książek poświęconych krytyce takiej gospodarki, w której „wycena rynkowa” jest ostateczną i niemal jedyną miarą aktywności i sukcesu, była wprost inspirowana rozważaniami Chestertona. W roku 1973 niemiecko-brytyjski ekonomista Ernst Friedrich Schumacher wydał książkę „Małe jest piękne”, która do historii przeszła jako „biblia ruchu ekologicznego”. Dzisiaj już mało kto pamięta, że autor był związany z niemieckimi kręgami ordoliberalnymi, czyli socjalkonserwatywnymi.

G.K. Chesterton cieszy się w Polsce pewną popularnością jako katolicki myśliciel religijno-cywilizacyjny. Znacznie gorzej jest z popularnością jego wizji gospodarczych, zwanych dystrybucjonizmem

Podtytuł książki brzmiał „Spojrzenie na gospodarkę świata z założeniem, że człowiek coś znaczy”, choć pierwotny, odrzucony przez wydawcę jako zbyt hermetyczny, to „Eseje o ekonomii chestertonowskiej”. Nie ma tu oczywiście

miejsca na referowanie całej wymowy i zawartych w niej recept, zacytuję zatem tylko kilka fragmentów pozwalających na ukazanie ducha tego przesłania. Schumacher stworzył bon mot mówiący, że „Ekonomia bez katolicyzmu jest jak seks bez miłości”, ale na potrzeby swojej książki odwoływał się, zgodnie z „kontrkulturowym” duchem epoki, do buddyzmu: „dla buddyjskiego ekonomisty najsensowniejszym rozwiązaniem gospodarczym jest produkcja oparta na lokalnych surowcach, import z daleka natomiast, i wynikająca z niego konieczność produkowania na eksport dla nieznanych, odległych ludów, wydaje się być nieekonomiczny, usprawiedliwiony jedynie w wyjątkowych warunkach, i to na małą skalę. [...] ekonomista buddyjski będzie twierdził, że zaspokajanie potrzeb człowieka ze źródeł odległych zamiast z bliskich jest oznaką choroby, a nie zdrowia”. W innym miejscu dodawał: „Gospodarka bogatego człowieka ma w istocie wiele negatywnych cech, zupełnie nie pasujących do świata nędzy. Dostosowanie tego świata do tych cech mogłoby zakończyć się jedynie jego ruiną. Jeśli zmiana przybiera taką postać, że ojcowie nie mogą niczego nauczyć swych synów, a synowie niczego przejąć od swych ojców, życie i struktura rodziny ulegają rozpadowi. Życie, praca i

szczęście wszystkich społeczeństw oparte są na pewnych »strukturach psychicznych«, bezcennych i kruchych. Gdy »struktury« te są naruszone, zanikają oraz ulegają rozpadowi również takie wartości i postawy, jak więź społeczna, współpraca, wzajemny szacunek, a przede wszystkim szacunek dla własnej osoby, odwaga w obliczu przeciwności, zdolność znoszenia przeciwności losu. Człowiek ulega rozkładowi, jeżeli trawi go przekonanie o własnej nieużyteczności. Żaden wzrost gospodarczy nie zrekompensuje tych strat”.

Silny rys konserwatywny miała również pionierska krytyka kultu wzrostu gospodarczego i traktowania go jako głównego miernika dobrostanu gospodarki i społeczeństwa. Edward J. Mishan, ekonomista i profesor London School of Economics, już w drugiej połowie lat 60. odrzucił dominujące spojrzenie na gospodarkę i dobrobyt. W „Sporze o wzrost gospodarczy”, fachowej, a zarazem pełnej pasji rozprawie autor poddaje totalnej krytyce podstawowe założenia gospodarki liberalnej i jej miary sukcesu. Już tytuł jednej z części, „Wzrost gospodarczy i dobre życie to podstawowe sprzeczności”, zapowiada, w czym rzecz. „Tradycyjna, konserwatywna doktryna, kojarzona z Edmundem Burkiem, a głosząca, że w tych urządzeniach społecznych, które się ostały próbie czasu i doświadczenia, zmian powinno się dokonywać tylko w przypadkach ostatecznej konieczności, lub gdy przemawiają za nimi silne argumenty i oczywiste dowody, została de facto odrzucona przez dzisiejsze konsumpcyjne społeczeństwo obfitości”.

Główne przesłanie tego swoistego manifestu mówi: „W tradycyjnej wierze ekonomistów więcej – to znaczy lepiej. [...] Jeżeli jednak jesteśmy rzeczywiście zainteresowani dobrobytem oraz poziomem moralnym społeczeństwa, nie będziemy się chcieli pogodzić z narzuceniem naszym sądom takiego ograniczenia, równoznacznego z

przyjęciem, że gładkie działanie konkurencyjnych rynków oraz poziom i podział produkcji są jedynymi kryteriami, które powinny być respektowane. [...] tradycyjne kryteria ekonomiczne mogą być całkowicie mylące. Kto by mógł bowiem uwierzyć, że społeczeństwo bogatsze i efektywniejsze ekonomicznie może być jednocześnie mniej zdrowe, mniej uczciwe, mniej bezpieczne, a także mniej szczęśliwe. [...] Wzrost gospodarczy nie jest ani konieczny, ani wystarczający dla wzrostu dobrobytu społecznego; musimy być nawet przygotowani na odkrycie, że dalsza pogoń za wzrostem gospodarczym jest szkodliwa dla dobrego życia, do którego dążymy”.

W szczegółowych uwagach Mishan nie zostawia suchej nitki na wolnym rynku niepoddanym kontroli społecznej i instytucjonalnej, w efekcie prowadzącym do erozji etosu dobra wspólnego i służby publicznej, mizernego gratyfikowania zawodów i czynności społecznie ważnych, lecz niezbyt „produktywnych”, dużych premii finansowych za komercyjną produkcję szkodliwą dla ważnych wartości społecznych oraz dla jednostkowego wymiaru cielesnego czy duchowego (od pornografii po niekrepowaną motoryzację indywidualną).

Mishan nie zostawia suchej nitki na wolnym rynku niepoddanym kontroli społecznej i instytucjonalnej, w efekcie prowadzącym do erozji etosu dobra wspólnego i służby publicznej

Podobne stanowisko, ale na gruncie filozoficzno-politycznym zajmuje John Gray, niegdyś jeden z czołowych ideologów thatcheryzmu, później zajadły krytyk tego, co

wolnorynkowa logika zrobiła ze społeczeństwem, instytucjami i etosem dobra publicznego. Już w roku 1993 w „Programie dla zielonych konserwatystów” pisał on: „Tam, gdzie zmianom nie ma końca [...] tam, gdzie więzy między pokoleniami zostają zerwane albo szaty wspólnej kultury rozdarte na strzępy, ludzie nie będą mogli żyć dobrze. [...] Neoliberalizm – w takiej mierze, w jakiej był ideologią radykalnej zmiany, więcej zawdzięczającą liberalnemu indywidualizmowi niż tradycyjnemu konserwatyzmowi – miał tendencję do tego, żeby wzmacniać procesy dezintegrowania się nowoczesnych społeczeństw”. W tekście tym, daleko wykraczającym poza wąsko pojmowaną ekologię, czytamy np., że „amerykański system opieki medycznej, oparty na zasadach rynkowych, trudno uznać za model, który mógłby przyjąć rozsądny konserwatysta. [...] Konserwatyści, odrzucając modne herezje neoliberalizmu, powrócą po prostu do dawniejszych i zdrowszych tradycji toryzmu, które dostrzegały iluzoryczność idei suwerennego i autonomicznego podmiotu wyborów rodem z liberalnej teorii, a zatem kładły nacisk na prymat życia wspólnotowego”.

Jednak głównym oskarżeniem Graya pod adresem doktryn wolnorynkowych i ich skutków, jest tekst „Dziwna śmierć Anglii torysów”. Filozof analizuje w nim, jak doktryna urynkowienia, indywidualizmu, personalnego sukcesu, swoista „monetaryzacja” postrzegania życia jednostek, ich profesji i obowiązków społecznych, rozbiły etos dobra publicznego i wartości konserwatywne: „Jednym z najważniejszych skutków zastosowanej w Wielkiej Brytanii po 1979 roku radykalnej strategii wolnorynkowej był demontaż tych koalicji interesów ekonomicznych i grup społecznych, które były rękojmią istnienia konserwatyizmu przedthatcherowskiego. [...] średnioterminowym skutkiem neoliberalnej polityki konserwatystów w Wielkiej Brytanii jest erozja etosu w takich instytucjach jak służba państwowa i służba zdrowia, które poddano reformie zgodnej z

receptami myślenia kontraktowego i menedżerskiego. [...] destruktywna polityka deregulacji rynku pracy, która w latach osiemdziesiątych rozbiła ruch związkowy, w latach dziewięćdziesiątych zaczęła niszczyć tkankę klas średnich wykonujących wolne zawody. [...] Skoro – co oczywiście jest prawdą – niczym nie skrzepowane instytucje rynku globalnego w rezultacie niszczą na całym świecie tradycyjne wspólnoty, podważają stabilność rodzin, nakładając na ich członków wymóg nieustannej mobilności, i niweczą tradycyjne praktyki i instytucje przez zalew nowości, to neoliberalni konserwatyści muszą przypisać owe zmiany innym czynnikom niż niepoddane kontroli siły rynkowe. Szuka się więc wyjaśnienia w antynomicznych czy relatywistycznych doktrynach, które rzekomo propagują szkoły i uniwersytety, w dziedzictwie libertarianizmu lat sześćdziesiątych, w stronniczości mediów czy podobnie absurdalnych spekulacjach. Społeczne – i, jeśli już o tym mowa, ekonomiczne – porażki fundamentalizmu rynkowego ukrywa czy przynajmniej maskuje się przez powrót do atawistycznych fantazji fundamentalizmu kulturowego”.

Tego rodzaju krytyczne opinie konserwatystów niewolnorynkowych na temat doktryny liberalizmu gospodarczego można mnożyć. Wybrałem tych przedstawicieli nieoczywistego konserwatyzmu, którzy nie poprzestawali na retrospektywnych utopiach i zarazem potrafili rozpoznać, jak neokonserwatywna/neoliberalna doktryna uderza w dobro publiczne nie tylko na poziomie bezpośrednich skutków ekonomicznych, ale również w sferze instytucji publicznych, moralnej kondycji wspólnoty, ładu zbiorowego, a przede wszystkim na jej odporności na kryzysy.

Wiele wskazuje bowiem na to, że kryzysy będą powracać, być może nawet kumulować się. Już tylko obecna pandemia pokazuje, jak kruchy jest system wolnorynkowy i jak zwodnicze są jego hierarchie wartości, priorytety płacowe i komercyjno-merkantylne premiowanie zawodów dających zysk w kontrze do tych, które ratują życie czy podtrzymują podstawowe mechanizmy przetrwania społeczeństwa.

Niewidzialna ręka jest pusta i puste są jej obietnice. W chwili najwyższej próby ratują nas państwo, służby publiczne oraz resztki odruchów solidarności wspólnotowej i etosu służby publicznej. W takim sensie pandemia może być szansą na powrót do normalności i zejście ze szkodliwej ścieżki neoliberalnej. Od nas zależy, czy tę szansę wykorzystamy zanim uderzy taki czy inny kolejny kryzys.

Remigiusz Okraska

Autor jest socjologiem, publicystą, społecznikiem, redaktorem naczelnym pisma „Nowy Obywatel” (ukazuje się od roku 2000, do 2010 jako „Obywatel”).

Fot. Wikimedia Commons, CC BY-SA 4.0



Sfinansowano przez Narodowy Instytut
Wolności - Centrum Rozwoju
Społeczeństwa Obywatelskiego
ze środków Programu Rozwoju
Organizacji Obywatelskich
na lata 2018 – 2030



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

Dofinansowano
ze środków Ministra
Kultury i Dziedzictwa
Narodowego